

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

13

(Ciąg dalszy).

— Owszem, zaraz pan przyzna mi słusność. Spotykamy się w Armeryi. Przed zamianieniem nawet pierwszego słowa wiedzieliśmy, że w archeologii przedstawiamy dwie rywalizujące z sobą szkoły.

Nie mogłem zaprzeczyć temu. Potwierdziłem ruchem głowy. Wydało mu się to dostatecznym, gdyż mówił dalej spokojnie:

— Starcie było nieuniknione, należało być, mówiąc oględnie, albo zaczepiającym albo zaczepionym. Przypuszczam z niejaką pewnością, że pan miał te same myśli, gdy, proszę mi to wybaczyć, poszedłem naprzód szybciej niż pan.

Jak wytwornie było to powiedziane. Istotnie, zbrodnia traci swą okropność, gdy jest tak opisana. Iść szybciej niż ja! Co za wspaniała eufemia na wyrażenie, że zostałem napadnięty i że mój towarzysz odczuwa pewne niezadowolenie, iż napad ten nie był zupełniejszy, nie miał należytego skutku.

— Dobrze! zgadzam się na to wszystko. Wyznam jednak panu zupełnie szczerze, że nie domyślałem się, do jakiego celu dąży ten wstęp... Jest tu dowcip, szczęśliwe wyrażenia, lecz brak jasnej wskazówki.

— Dojdziemy i do tego — rzekł z powagą.

Lecz w chwili, gdy otwierał usta, by w dalszym ciągu snuć nic swych myśli, otworzyły się nagle drzwi.

Ukazał się służący, który, gdy hrabia zawołał gniewnie:

— Rozkazałem, by mi nie przeszkadzano...

Odparł zmieszany:

— Usłuchałbym rozkazu pana hrabiego, lecz przyszedł brygadier policyi... Chce widzieć pana hrabiego, by zakomunikować jakąś ważną rzecz.

Zerwaliśmy się obaj z foteli. Brwi hrabiego zmarszczyły się i cały się zasepił... Jedna myśl zrodziła się w naszych czaszkach. Czy jego zajęcia szpiegowskie wyszły na wierzch? Pohamował się zaraz i odprawił służącego temi słowami:

— Dobrze. Proszę przyprowadzić tu tego brygadiera.

Uznałem za odpowiednie usunąć się, lecz pan Holsbein zatrzymał mnie.

— Po co? Nie mam już nic do ukrywania przed panem. Brygadier ten nie powie panu nic takiego, czego by pan sam nie wiedział.

— Pańskie zaufanie do mnie jest mi bardzo miłe, ale...

Przerwał zaraz:

— Moje zaufanie?... Cóż znowu, niechże pan nie żartuje teraz... Moje zaufanie?... Nie skończyliśmy tylko naszej rozmowy.

Służący ukazał się znowu, puszczając przed siebie funkcjonariusza policyi, który odezwał się do gospodarza domu:

— Pan hrabia wybaczy mi, lecz z powodu rozkazu Dyrekcyi, musiałem nalegać, by mnie zaanon-sowano.

— Proszę nie tłumaczyć się panie brygadyerze, lecz przystąpić odrazu do rzeczy.

Przybyły spojrział na mnie z pod oka, jakby pytał się, czy może w mej obecności wyłożyć swe posłannictwo.

— Ten pan jest moim zaufanym, pospieszył do dać hrabia i proszę wcale się nie krępować.

Spokojnym i pełnym namaszczenia głosem brygadyer zaczął zdawać swą relację:

— Dzisiaj rano koło godziny dziesiątej pociąg ekspres Madryt-Paryż-Kolonia-Berlin przybył na stację graniczną Irun z opóźnieniem tylko dwóch godzin trzydziestu pięciu minut, co, pozwolę sobie zauważyć, stanowi rekord punktualności w tym roku.

Pomyślałem, że brygadyer byłby sprytniejszy, gdyby pominął milczeniem tę sprawę. Zapomniałem jednak, że ludność Hiszpanii ma specjalne swe przysłówia o żelaznych drogach:

— Jeżeli się spieszysz, omijaj drogę żelazną, a siadaj na muła. Jeżeli masz się ćwiczyć w cierpliwości, siadaj do pociągu. Wobec tego można przyznać, że tylko półtrzęcio-godzinne opóźnienie zasługuje na zwrócenie uwagi.

Brygadyer ciągnął dalej, nie spiesząc się również jak i koleja.

— Konduktor na stacyi przestrzegał, wołając głośno, że w Irun wszyscy winni wysiadać z wyjątkiem pasażerów wagonów bezpośredniej komunikacji, gdy niespodzianie na ławce wagonu pierwszej klasy zobaczył jakiegoś senora, pogrążonego w głębokim śnie.

Starął się go obudzić, powtarzając:

— Eh! senor! Irun! wszyscy wysiadają! Irun, granica francuska!

Lecz pasażer spał jak zabity. Konduktor, zaniepokojony tem, pospieszył do naczelnika stacyi, który po naradzie ze swym pomocnikiem, postanowił wynieść śpiącego na rękach.

Dwóch ludzi ze służby przeniosło nieznanego pasażera do biura naczelnika stacyi, dokąd przybył zaraz don Lorenzo Parfaragate, doktor kolejowy i oznajmił, że nieznamy uspijony jest chloroformem i że według wszelkiego prawdopodobieństwa wkrótce się obudzi.

Przytem jednak stwierdzono, że z pasażerem ktoś się obszedł w dziwny sposób. Zabrano mu trzewiki. Przeszukano cały wagon, który naczelnik rozkazał odstawić na boczną linię, lecz nie natrafiono nawet na ślad obuwia, pasażer zaś po obudzeniu się utrzymywał, iż trzewiki miał na nogach. Naturalnie, że nie można było poddawać tego w wątpliwość, gdyż żaden człowiek nie siada do wagonu tylko w skarpetkach w paski zielono-czerwone, jakie miał on na sobie.

Musiałem pilnować się, by nie parsknąć śmiechem. Brygadyer z najzupełniej zimną krwią zdawał nam cały raport urzędowy. Zużył już na to pięć dobrych minut, a nie wiedzieliśmy jeszcze, dlaczego ten pasażer bez butów ma interesować hrabiego.

Widziałem jak pan Holsbein coraz bardziej niecierpliwi się, zapewne jednak uważał, iż przerywając gadule, można narazić się na dłuższe jeszcze jego gadanie. Zmuszał się też do milczenia, gdy brygadyer układał i wypowiadał jedno zdanie po drugim w przekonaniu, co zresztą widać było po jego zadowolonej minie, iż wymową swą sprawia nam wielką przyjemność.

— Należy więc przypuszczać, że zbrodniarz albo zbrodniarze, na co wskazuje użycie chloroformu, którym nikt nie ma prawa posiłkować się oprócz lekarzy, w wypadkach, gdy zachodzi konieczność operacji i to nie względem wszystkich...

— Ależ cóż mnie to może interesować — zawołał wreszcie hrabia wyczerpany zupełnie monotonością tego opowiadania.

Brygadyer nie zmieszał się wcale.

— Dowie się pan hrabia w odpowiedniej chwili; osoba tak dostojna jak pan hrabia nie może żądać, by zawiadomienie urzędowe przedstawiono bez należytego porządku. Zawsze należy zacząć od początku i potem logicznie zmierzać do zakończenia.

— A więc niech pan zmierza... Na razie bowiem stoimy.

Uwaga ta wywołała uśmiech pod sumiastem i wąsami brygadiera.

— Bardzo słusznie — rzekł potwierdzająco — zmierzam dalej, jak pan hrabia życzy sobie.

I niewzruszony zaczął od punktu, na którym przerwał. Ah! gdy Hiszpan chce być flegmatycznym, wtedy przekracza już wszelkie granice powolności, daje wyprzedzić się nawet pociągowi hiszpańskiemu.

— Wspomniałem więc, że zbrodniarze z wszelką pewnością zachloroformowali naszego pasażera. Za tą hipotezą przemawia jeszcze i to, iż nie zadowolili się jego obuwem, lecz odrpuli także podszewkę od jego kamizelki, marynarki i zarzutki; ponadto zabrali jego kapelusz, czapkę podróżną i poprzewracali rzeczy w walizie. Liczba i różnorodność tych operacji stwierdza niezbicie konieczność poprzedniego chloroformowania. Bez pomocy tego środka nasennego nie mogliby dokonać tych swoich czynów.

— To mężczyznę tak zrewidowano?... Może sądzono, że ma on przy sobie jakie ważne papiery, które mógł ukryć pod podszewką, w obuwu, lub w innym jakim miejscu, gdzie zazwyczaj nic się nie chowa — zawołał pan Holsbein, wyprowadzony z wszelkiej cierpliwości.

To mi wszystko wyświetliło. Rozumiałem teraz motywy tego wypadku z chloroformem. „Teść“ mój zdradził się z myślą, która od początku samego zjawiała mu się w głowie.

Brygadyer przytulił to za oznakę domyślności hrabiego, z odcieniem też specjalnego poważania rzekł:

— Pan hrabia trafił w samo sedno. Właśnie do tego wniosku doszliśmy po pierwszym badaniu, lecz...

Zrobił tutaj małą pauzę, by wywołać resztą zdania większy efekt.

— Lecz pasażer po swem zbudzeniu twierdził, że nigdy nie był w posiadaniu papierów, któreby mogły wywołać chciwość w złodziejach. Powracał do rodziny i nie rozumiał wcale, co może znaczyć zamach, którego stał się ofiarą.

— Co więcej? — dopytywał się hrabia nerwowo w widocznym podnieceniu.

— Teraz właśnie — ciągnął neliłościwy przedstawiciel władzy — będę miał zaszczyt oznajmić, co w tej sprawie może interesować pana hrabiego. Ka-

zdy mi przyzna, że doszedłem do tego w jedynie wskazany sposób, bez tych bowiem wstępnych wyjaśnień zakończenie mego opowiadania nie miałooby żadnego sensu. Otóż podróżny ten, badany przez mego kolegę Vloreza, brygadiera trzeciej kompanii batalionu straży bezpieczeństwa, oznajmił, iż nazywa się Wilhelm Bonn, urodzony w Hamburgu w Niemczech, lat trzydziestu siedmiu, kawaler, bezdzietny, pełniący obowiązki prywatnego sekretarza Waszej Ekscelencyi.

Oczekiwałem tego wyniku od kilku już chwil, nie zdziwił mnie on też zupełnie.

Hrabia natomiasz zmarszczył się gniewnie, zaciśnął ręce i zawołał głosem drżącym z wściekłości:

— I dlatego tylko, by mnie to opowiedzieć, nie pokojono pana, brygadyerze!

— Dlatego i by sprawdzić słowa Wilhelma Bonna. Wsiadł do pociągu jadącego do Madrytu, żandarmerya jednak nie spuściła go z oka. Polecono mi też telegraficznie, bym dowiedział się od pana hrabiego, czy pasażer ten nie wprowadził w błąd władzy.

— Wszystko to jest najzupełniejszą prawdą.

— Wobec tego pozwolą mi spokojnie wysiąść tu na dworc i udać się do pana hrabiego. Gdybym nie otrzymał tego potwierdzenia, zatrzymanoby go przy wyjściu z pociągu, gdyż nie dosyć podawać się za ofiarę, by oszukać baczne oko policyi; trzeba jeszcze dać dowód swego stanu cywilnego.

Podniósł się, skłonił, powtarzał „gracias senor“, przeproszał za zajęty czas i tłumaczył, że wymagania obowiązku, dyscyplina, zabezpieczenie spokoju publicznego, prawa kolejowe, wymagają takich dowodów... Ach! gaduły! Gdy nie mają nic do powiedzenia, stają się najrozumnijsi. Zdaje mi się, że gdyby nie przybył on w charakterze urzędowym, hrabia z pewnością wyrzuciłby go za drzwi. Domyślałem się tego z drgań nozdrzy u mego „teścia“.

Wreszcie brygadyer zdecydował się odejść, lecz jeszcze od drzwi chciał zarzucić nas nową seryą przeproszeń.

Tym razem pan Holsbein przerwał stanowczo.

— Dziękuję, brygadyerze... oto pięć pesetas za pańską fatywę.

Przedstawiciel policyi wziął szybko monetę i kłaniając się już w milczeniu, wyszedł.

Po zamknięciu się za nim drzwiami, hrabia spojrział na mnie, a ja na hrabiego.

— I cóż — rzekł otwarcie. Sieci dobrze są zastawione dokoła Casa Avreda. Chciałem się upewnić co do tego i teraz mam dowody.

Nie miałem nic do opowiedzenia... Słowa te nie zwracały się bezpośrednio do mnie. Mijały one mnie a zmierzały wprost do nieuchwytnego i niezmordowanego X. 323, któremu przypisywałem bez wahania tę przygodę Wilhelma Bonna, sekretarza pana Holsbeina. Widocznie i hrabia doszedł do tego wniosku, zajął bowiem poprzednie swe miejsce przy biurku i rzekł zmienionym głosem:

— Powróćmy do punktu, przy którym ten głupi przerwał nam.

Kiwnąłem głową na znak zgody.

— Dobrze... Oddawałem sprawiedliwość pańskim istotnym zaletom i miałem dojść do tego wyniku: Jako człowiek inteligentny i dzielny, musi pan czuć wstręt do sprawiania cierpienia niewinnemu dziecku.

Poruszyłem się niespokojnie. Tego już nigdy nie oczekiwałem!

— Mówię o Niece — ciągnął dalej hrabia jakimś rozrzuwionym tonem... nie chcę, by ona miała cierpieć.

— A skąd panu przychodzi na myśl, że ja jej sprawię ból?

— Z tego oto! Pan jej nie kocha.

— Co?

— Nie może pan jej kochać, powtórzył z naciskiem.

Zaczynał mnie już drażnić. Jakiem prawem ten chytry człowiek zaprzecza mojej miłości. Jeżeli ty, oślepy ojciec — uważasz — iż nie można jej kochać, to znaczy, żeś nigdy nie patrzył na to cudowne stworzenie! Rzeczywiście, niektórzy ojcowie bywają ciemni na wdzięki swych córek. Wzruszając więc ramionami, o co sam się oskarżam — odrzekłem drwiąco.

— W takim razie, drogi panie, będę panu wdzięczny za wyjaśnienie, w jakim celu prosiłem o rękę tego drogiego dziecka.

Wydał z siebie jakiś głuchy pomruk, jakby odgłos wewnętrznego wzruszenia i odpowiedział z wahaniem:

— Niete musiała panu mówić... pozwolić domyślać się, że nie przyznaję sobie prawa wpływania na jej wybór... Szczęście jednej osoby nie bywa zawsze szczęściem i drugiej, pan zaś postanowił prosić o jej rękę...

— Ponieważ kocham ją...